

Piotr Chojnacki

Kierunek - tropik?

W roku 1960 kupiliśmy za granicą towarów za prawie 6 miliardów złotych dewizowych*. Sprzedaliśmy za granicę za 5,3 miliarda. W roku 1961 kupiliśmy już za 6,7, a sprzedaliśmy za 6,1 miliarda złotych dewizowych. W obu tych latach więcej za granicę kupowaliśmy aniżeli potrafiliśmy tam sprzedać. Przewaga importu nad eksportem wyniosła 1,3 miliarda złotych. Sytuacja bardzo nie miła i na dłuższą metę nie do utrzymania.

O tym co kupowaliśmy — pisaliśmy wczoraj: rudę żelaza, naftę, miedź, wyroby hutnicze, kauczuk, bawełnę, wełnę, skóry, zboża i inne niezbędne do normalnego funkcjonowania naszej gospodarki surowce, materiały i maszyny. Zmniejszyć tego importu nie sposób chyba, że... od kryjemy własną „wielką ropę”, duże złoża rud, lecz co jest (przykład — siarka i miedź) możliwe w przyszłości. Trzeba nam więc bardzo pil-

nie doskonalić i forsować eksport, zacieśniać stare kontakty, szukać nowych partnerów i gdzie tylko to jest dla obu stron korzystne — wiązać się długofalowymi umowami handlowymi.

Takie umowy na lata 1961—65 podpisaliśmy ze wszystkimi krajami socjalistycznymi. Stosunki z nimi ukladają się dobrze, wzajemne obroty stale rosną i — co jest godne uwagi — bilans handlowy z tymi krajami kształtuje się dla Polski dodatnio.

Takie umowy mamy także z sześcioma krajami Europy zachodniej. Najwcześniej, bo w roku 1959 podpisaliśmy 3-letnią umowę z Austrią i w ciągu minionych 2 lat obroty z tym krajem wzrosły o ponad 9 mln dolarów. W roku 1960 podpisaliśmy 4-letnią umowę z Włochami. Obroty skoczyły o 11 mln dolarów. W roku ubiegłym zawarliśmy 3-letnie umowy handlowe z Anglią, Szwecją i Norwegią. Już w pierwszym roku realizacji tych umów wzajemne obroty z Anglią wzrosły o 18 mln dolarów, ze Szwecją o 6 mln dolarów, a z Norwegią o 30 proc. W kwietniu br. zawarliśmy 4-letnią umowę z Danią i jeszcze w tym roku obroty wzrosną o około 6 mln dolarów.

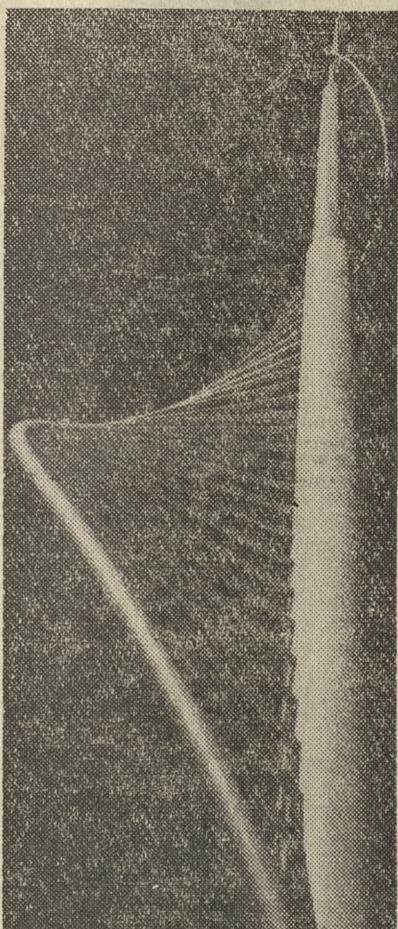
Przykłady te świadczą dobitnie o tym, że wieloletnie porozumienia handlowe są bardzo korzystne tak dla Polski jak i dla jej zachodnioeuropejskich partnerów. Kraje te produkują wiele sprzętu inwestycyjnego i szukają na ten sprzęt nabywców. Polska sprowadza z krajów zachodnioeuropejskich wiele maszyn i urządzeń, a nawet wyposażenie całych fabryk oraz licencje na produkcję niektórych wyrobów. W ostatnich latach zakupiliśmy tam np. licencje na produkcję silników okrętowych, lokomotyw elektrycznych, elany, aluminium itp. Lecz wielkość naszych zakupów ograniczona jest wartością eksportowanych przez nas do tego rejonu towarów.

Polska jest solidnym kontrahentem. Kupując coś, np. kompletne urządzenie dla nowej fabryki, licząc się z tym, że dostawy trwać będą dłuższy czas, chce mieć pewność, że będzie w stanie za towar w terminie zapłacić. Taką pewność stwarzają jej właśnie wieloletnie umowy handlowe. Czyż trzeba się więc dziwić, że tak bardzo o nie zabiega?

W roku ubiegłym nasz eksport do krajów kapitalistycznych wzrósł o

*) 1 złoty dewizowy = 0,225 rubla = 0,25 dolara USA

Dokończenie na str. 3



Fot. — K. Przychodźki

W 20 rocznicę tragedii Lidic

W Lidicach rozkwita co roku prawie 29.000 krzewów róż. Posadzono je w Parku Pokoju i Przyjaźni, założonym z inicjatywy angielskich górników z Stake-on-Trent tych samych, którzy już w miesiąc po tragedii Lidic zapoczątkowali ruch solidarnościowy pod hasłem — „Lidice odżyją”. Krzewy lidickie róż wyplastywały ręce hodowców z 34 państw. Nazwano je mianem czeskiej wioski wówczas, gdy ona istnieć przestała.

Było to 20 lat temu. Najstarsza mieszkanka Lidic — Albina Heymowa tak o tym opowiada:

„Działo się to w nocy 9 czerwca 1942 roku. Spaliśmy wszyscy, kiedy pół godziny przed północą wdarli się hitlerowcy i kazali wszystkim wyjść na plac z pieniędzmi i wartościowymi rzeczami. Nie wiedzieliśmy po co, ale wyszliśmy — płaczące dzieci, przerażone kobiety. Trzymano nas w szkole przez noc, nie wiedzieliśmy, co się dzieje z mężami i dziećmi. Wczesnym rankiem zabrali nas do Kładna w zakrytych ciężarówkach...”

Albina Heymowa nie mogła znać wówczas dalszego ciągu — dowiedziała się o tym dopiero po wywołaniu, po powrocie z Ravensbrück. Wkrótce po wywiezieniu kobiet i dzieci, w Lidicach rozbrzmiały salwy. Po kilku godzinach w 17 rzędach leżały 173 ciała lidiczanki: najstarszy, 84-letni Emanuel Kovarovský obok 14 i pół letniego Józefa Hronika, 73-letni proboszcz lidickiej parafii obok młodego metalowca, któ-

remu zaledwie przed kilku dniami dawał ślub. Jeszcze przedtem wymordowano dwie całe lidické rodziny; w Pradze rozstrzelano 11 mieszkańców Lidic, którzy tragicznej nocy byli w pracy. Rozkaz Karla Franka przecież brzmiał: wszyscy mężczyźni z Lidic mają być rozstrzelani. Było ich 192.

Kobietom, obrabowanym ze wszystkiego co zabrały, w Kładnie wydarto również dzieci — większość wywieziono do Łodzi, najmłodsze do Pragi. Ze 105 dzieci wróciło do Lidic 17; dziewczęci, które cudem ocalały w okupowanej Polsce i ośmiórko które były w praskim przytułku. Ze 196 kobiet, zginęły w obozach 53.

Lidice, splądrowane — spalono. Miejsce, na którym stały domy zarożniano. Nazwę wykreślono ze spisów i map.

Taki był odwet hitlerowców za to, że jakoby udzielano bojomnikom, którzy dokonali udanego zamachu na kata Czech — Heydricha.

Lidice miały być dla Czechów przestrogą...

Stały się dla świata symbolem. Symbolem hitlerowskiego barbarzyństwa.

Symbolem wzywającym do walki — zagwiazd rzuconą w lud czeski i sło-

wacki, rozpalać ruch operu, partyzantkę.

Lidice miały być przestrogą dla Czechów. Stały się rzeczywistością przestroga dla świata. Przestroga żywa do dziś.

Wioska, odbudowana, żyje. Żyją w niej ludzie, którzy ocalili, żyją nowi mieszkańcy. Ale odbudowano ją nie na starym miejscu. Spopielała, zarożniona pole unaoczniła wszystkim, co niesie za sobą wojna, do czego zdolny jest imperializm niemiecki.

W Lidicach kwitną róże; róże, które każą pamiętać.

Jerzy Zajączkowski

*

Kilka lat temu, dwieście krzewów róż, kobiety z Lidic przywiozły właśnie do wielkopolskiego Chelma nad Nerem i placząc zasadziły je na jednej z polan pobliskiego lasu. Tam bowiem, jak wynika z prowadzonego skrupulatnie przez hitlerowskich buchalterów śmiertelnego rejestru, powinna być również mogiła 82 dzieci lidických, które przesłane do Łodzi, zostały skierowane z kolei do obozu masowej zagłady „Kulm” — z lakoniczną adnotacją: „Sonderbehandlung”.

Nie wiadomo wprawdzie, jak ostatecznie „potraktowano specjalnie” czeskie dzieci: czy zagazowano je spalinami w odpowiednio skonstru-

Wracając zatem do szewca: on obojętnie się bez butów, a nasza mechanizacja rolnictwa (jak do tej pory) — bez mechanizatorów. Byłoby to nawet radosne, gdyby nie stanowiło zarazem źródła niepokoju. Godzi się bowiem przypomnieć, iż wartość majątku, na który składają się maszyny i narzędzia rolnicze, PGR-ów i spółdzielni — liczymy już w miliardach złotych.

Prognozy raczej niewesołe

Włączmy do wyjaśniania tej sprawy bardzo kompetentne osoby: z Komisji Planowania przy Radzie ministrów — Zespół Planowania Perspektywicznego — Wydział Rolnictwa. Zespół ten opracowuje „Zeszyty Ekonomiki Rolnictwa i Planowania”; w numerze 29 z roku ubiegłego mgr Stefan Dąbrowski i inż. Tadeusz Kocięcki opublikowali bilans-prognozę, dotyczącą kadr mechanizatorów rolnictwa w dwudziestolecie 1960—1980.

Co z owego bilansu wynika? To mianowicie, iż w roku 1960 na stanowiskach dyrektorów i kierowników warsztatów mechanizacji — zatrudniano w kraju jedynie 139 ludzi z wyższym politechnicznym wykształceniem. Ponieważ umiarkowanie naszego rolnictwa postępuje gwałtownie — planiści uważają, że w roku 1965, a więc za 3 lata, na wspomnianych stanowiskach potrzeba nam będzie 1114 ludzi z ukończoną politechniką. W tym samym czasie jedyny w kraju Wydział Mechanizacji Rolnictwa Politechniki Poznańskiej opuszcza najwyżej dwustu absolwentów.

Jednakże autorzy cytowanego opracowania wyrażają — chyba oparty na przemyśleniach — pogląd, że kalkulatorami i technikami normowania w przedsiębiorstwach, związanych z mechanizacją rolnictwa, powinni być także absolwenci politechniki; na rok 1965 powiększają więc z tego względu zapotrzebowanie na inżynierów mechanizacji rolnictwa o dalszych 800 absolwentów. Rachunek: 1114 + 800 = 1914 — 339 (już pracujący fachowcy łącznie z

„zdolnością produkcyjną” Wydz. Mech. i Roln. PP do r. 1965) = 1575. Liczba ta określa niedobór kadry mechanizatorskiej w rolnictwie z wyższym wykształceniem technicznym na rok 1965.

Czy w latach następnych spodziewane jest może zmniejszenie dysproporcji? Przeciwnie: prognoza jest jak najgorsza: do roku 1970 zapotrzebowanie wzrośnie o dalszych 1826 absolwentów omawianego kierunku studiów — podaż natomiast wyniesie jedynie około 250 osób.

Rezygnuję z podawania wskaźników za rok 1980. Za to przypomnę, że autorami przytaczanego opracowania, że także kierownicy grup instalacyjnych i montażowych pracujących dla rolnictwa powinni mieć wyższe wykształcenie techniczne.

Oczywiście, akceptowanie podobnego poglądu równoznaczne jest z odpowiednim zwiększeniem zapotrzebowania na magistrów inżynierów z politechniki ze specjalnością mechanizacji rolnictwa...

Technicy i rolnicy

Może ktoś wysunąć argument, że w zakresie mechanizacji fachowców szkółą także wyższe szkoły rolnicze. Istotnie, zaczynają. Ale dla nich także pracy nie zabraknie. Wydział Rolnictwa Zespołu Planowania Perspektywicznego Komisji Planowania przy Radzie Ministrów (brr, ta nazwa!) jest zdania,

Być albo nie być Wydziału Mechanizacji

Mówią, że szewc bez butów chodzi i to jest absolutnie sprawdzalne na przykładzie poznańskiej Politechniki; kiepsko tam z tą techniką *) — od centrali telefonicznej począwszy, na lokalach uczelni skończywszy. Jest to wszakże temat sam w sobie. Poniżej będzie mowa o problemach jednego tylko wydziału Politechniki Poznańskiej: Wydziału Mechanizacji Rolnictwa.

Wydaje się, że planiści w sposób rozważny nakreślili swą prognozę, dostrzegając dwa nurty mechanizacji: techniczny i rolniczy. Daleko wszakże od tych planów odbiega dotychczasowa praktyka.

Przed wszystkim wyraźnie nie docenia się potrzeby kształcenia kadry mechanizatorów przez politechnikę; wydziały mechanizacji rolnictwa w Warszawie i Wrocławiu zostały zlikwidowane. Politechnika stołeczna edukuje jedynie konstruktorów maszyn rolniczych, na których czekają pracownice naukowe i przemysł. W tej sytuacji istniejący od roku 1954 Wydział Mechanizacji Rolnictwa Politechniki Poznańskiej, z limitem rekrutacyjnym 100 osób i „mocą produkcyjną” około pię-

dziesięciu absolwentów rocznie, jest jedyną placówką, dostarczającą mechanizatorów z wykształceniem technicznym.

Ostatnio asygnowano ponoć poważne kwoty na organizację studiów mechanizacji rolnictwa na WSR-ach²⁾. To dobrze. Ale tak jak studia chemiczne na uniwersytetach i politechnikach wzajemnie sobie nie wadzą, lecz przeciwnie — uzupełniają się, tak między WSR-ami a politechnikami może być nie „konkurencyjności”. Wystarczy — aż nadto — roboty dla absolwentów wydziałów mechanizacji rolnictwa obu typów uczelni.

Krąg się zamyka

Zatem — skąd owo niedocenywanie przez Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego i Ministerstwo Rolnictwa — mechanizacji rolnictwa na politechnikach? Może przyczyną tego stanu rzeczy szukać należy w fakcie, iż Ministra Jagielskiego otaczają doradcy, związani z wyższym szkolnictwem rolniczym? Może Departament Szkół Technicznych Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego dlatego zajmuje pozycję wycofaną, że Wydział Mechanizacji Rolnictwa PP nie rozporządza prze-

*) Z przyczyn raczej niezależnych od władz Politechniki.

**) Nota bene właśnie poznańska WSR tak potrzebnego wydziału nie posiada.

Dokończenie na str. 2

chodnioniemieckim; rychło jednak okazało się, że li tylko przejściowo i po to właściwie, by „działacza prześledzić” — powszechnie szanowanego — nie spotkały broń Boża! — jakieś nieprzyjemności. Na przykład potrzebą składania zeznań, w czasie których musiałoby paść m. in. nazwisko Globke.

Tym bardziej więc nie wolno zapomnieć: są miejsca w Europie, których ziemia tak dalece została nasyciona popiołami ludzi, że nie przyjmują się na niej nawet najtroskliwiej sadzone rękami osieroconych matek krzewy różane z Lidic. Do takich miejsc należy właśnie las chelmski, w którym dokonano się również akt tragedii lidickiej.

Dlatego słusznie projektanci stawianego w tym lesie pomnika zamierzają utrwalić na nim apel zawarty w ocalałym liście jednej z ofiar:

„Wzięto nas od starca do niemowlęcia do lasu między miasteczkiem Koło a Dąbnie i tam nas gazowano i rozstrzelano i palili. Otóż prosimy, aby nasi przyszli bracia ukarali naszych morderców. Świadców naszego gnębienia, którzy mieszkają w tej okolicy jeszcze raz prosimy o rozgłoszenie tego morderstwa po całym świecie...”

Że jednak mordercy nie zostali ukarani — proponuje jeszcze dodać za Fuczikim: „Ludzie, bądźcie czu- ni!”

Zbigniew Szumowski

...pulos profesji ciąg dalszy

Mirosław Sanigórski

„Kto, powołując się na swój wpływ...”

1. Przez dłuższy czas grasował w Atenach genialny na swój sposób cwaniak o nazwisku trudnym do wymówienia, ale niewątpliwie kończącym się „po grecku”: — pulos. Wszystko można było u niego kupić, a raczej — wszystko miał do sprzedania. Sprzedał więc na złom express Paryż—Ateny, potężny zegar z wieży ratuszowej, statek handlowy i inne tego rodzaju „drobiazgi”.

1a. Przez dłuższy czas grasował w Warszawie genialny na swój sposób cwaniak o nazwisku niewątpliwie kończącym się „po polsku”: — ski. Wszystko można było u niego kupić, a raczej — wszystko miał do sprzedania. Sprzedał więc na złom Most Poniatowskiego, nie miał trudności ze znalezieniem nabywcy na pomnik króla Zygmunta, opylił bez większych targów wagon tramwajowy i inne tego rodzaju „drobiazgi”.

Nie jest stwierdzone ponad wszelką wątpliwość, czy to „pulos”, „skiego”, czy też „ski” „pulos” nauczył zbijania forsy na głupocie i naiwności współziomków. Historia na ten temat dyskretnie milczy. Jeden wszakże fakt jest niewątpliwym: obydwa panowie swoją ryzykowną i zyskowną profesją uprawiali z pomyślnym dla własnych kieszeni skutkiem — wtedy, panie dziejko, kiedy to ciemnota... zacofanie... głupota... nęcza... Dzisiaj nie zarobiliby nawet na skibkę suchego razowca. Bo cholernie zmądrzeliśmy i byle mostu nikt nam podstępnie nie wtrąci. Nie ma głupich!

NIE MA GLUPICH?

Nowe warunki zrodziły nowe potrzeby. Nowe potrzeby zrodziły nowy typ cwaniaka. Nowy typ cwaniaka zrodził nowy typ jego klienta — nie wiem czy w Grecji, wiem na pewno, że w moim kraju. Niestety! — ski, ten od mostów i pomników, nie umarł bezpotomnie. Nie przewraca się też ze wstydu w ciemnej mogile. Znalazł godnych siebie następców. Ich zawodem jest popadanie w własnej i nieprzymuszonej woli w kolizję z artykułem 38 Małego Kodeksu Karnego, który głosi: „Kto,

W tym roku Zjazd Pisarzy Ziemi Zachodnich — piąty z kolei, odbył się w Opolu. Ten mały jubileusz prowokuje do uogólnień i wniosków. Już rezolucja, uchwalona na zakończenie Zjazdu przez około 130 pisarzy, zawiera szereg dezcyderatów i sugestii, które należy wziąć w przyszłości pod rozwagę. Węć przede wszystkim podkreśla się wagę pisarstwa o ziemiach zachodnich, najdonioślejszych problemach, ludziach i ich życiu. Ziemię zachodnią tak dalece zintegrowały się z resztą kraju, że w tym względzie zjazdu, a właściwie spotkania pisarzy ziem zachodnich i północnych (Olsztyn, Białystok) nabierają innego charakteru. Toteż przy podsumowaniu dorobku zjazdów, wszystkich ich pozytywow, nie od rzeczy będzie pomyśleć o nowej formie spotkań pisarzy tych rejonów kraju. Dla zadokumentowania powyższych uwag sugeruje się, że przyszły ogólnopolski Zjazd Literatów powinien się odbyć w Zielonej Górze.

Sprawdzeniem pewnego „przeżycia się” konferencyjności Zjazdu była mało ciekawa dyskusja po skądinąd interesującym referacie Jacka Łukasiewicza i Zbigniewa Zielenki z Wrocławia. Same obrady, którym przysilił się z ramienia Ministerstwa Kultury i Sztuki wiceminister Zaorski, upłynęły więc w sennym raczej nastroju, być może jeszcze deszczowa pogoda sparaliżowała wienę oratorską poszczególnych mówców. Wiele ciekawych rzeczy działo się poza salą

bowiem dopuścić do powtórzenia przeoczenia, które w rezultacie pozabawiło potomność biografii ojca (tego przedwojennego od pomników) współczesnych cwaniaków i hochsztaplerów.

„Co piąty oskarżony z art. 38 m.k.k. posiada wyższe wykształcenie, trzech na stu niepełne wyższe, a zaledwie pięciu na stu nie może się wykazać ani jedną klasą szkoły podstawowej. Można więc z czystym sumieniem powiedzieć, że tą brudną profesją parają się ludzie inteligentni, światli i świadomi. Zda się ten pewnik potwierdzać i fakt, iż prawie 85 proc. oskarżonych posiada określony i to wcale-wcale, zawód. Co dziesiąty — prawnik, co dwudziesty — inżynier. Wśród „ustosunkowanych” są również nauczyciele, technicy, rzemieślnicy, aktorzy, a nawet (niestety!) dziennikarze.

NIE BYŁOBY BIORĄCYCH, GDYBY NIE DAJĄCY

„Dający również nie wyróżniają się prymitywną budową. Są wśród nich lekarze, kierownicy przedsiębiorstw państwowych, przedstawiciele prywatnej inicjatywy, nauczyciele, inteligencja twórcza i (znów, niestety) dziennikarze. Mniej naiwne są kobiety, aniżeli mężczyźni. Największą grupę poszkodowanych stanowią ludzie w wieku do 30 lat, najmniejszą i najrozpadniętą grupę stanowią ludzie, którym pozornie rozsądni odmawiają rozsądku — poniżej lat 20 (jeden na sto).

OKAZJA STWARZA POKUSE

„Co trzeci cwaniak był już karany. Ale nie z art. 38 m.k.k. Za jakieś inne przestępstwo. 95 na 100, to przestępcy „okazyjni”. Wiadomo — okazja kusi. Typowy cwaniak wszystko może. Katalog spraw „do załatwienia” obejmuje 25 pozycji. „Przydziały” mieszkania, „zwalniania” z więzienia, „zapewniają” widzenia z więźniami, „umarzają” zaległości podatkowe. To sprawy typowe. Typowy cwaniak nie gardzi jed-

Czesław Michniak

Pożyteczny Zjazd

obrad (w Prezydium WRN) — a więc w terenie. Gościnni gospodarze postarali się o atrakcyjne spędzenie wolnego czasu przez pisarzy w pierwszym dniu imprezy. I tak obwieziono nas autokarami po Opolszczyźnie, pokazano ciekawe zabijki (Nysa, Paczków, Niemodlin, Otmuchów), zakłady przemysłowe w Kędzierzynie i Nysie by wreszcie wieczór tego miłego dnia spędzić w Głogówku u Rafała Urbana, pisarza autochtona, piewcy tych ziem. Tamże poczęstowano pisarzy znakomitą kaszanką, o czym mówiła nawet z trybuny zjazdowej przedstawicielka Zarządu Głównego ZLP — Anna Kowalska. Na uznanie zasługuje również sprawne zorganizowanie wieczorów autorskich. Wanda Melcer, Maria Szypowska, Tadeusz Chrościelewski i niżej podpisany wzięli udział w spotkaniu ze społeczeństwem Krapkowiec nad Odrą. Spotkanie z literatami potraktowano jako wstęp do imprezy „Zgaduj

Zgadula”, zorganizowanej przez miejscową PSS. Tym niemniej trzeba podziękować Powiatowemu Wydziałowi Kultury i kierownicze Biblioteki Powiatowej za tak miłe przyjęcie, było więc liczne, uważne audytorium, kwiaty i oklaski. Nie zapomnimy!

Imprezy towarzyszące Zjazdowi uzupełniły w pewien sposób same jego obrady, pisarze — niektórzy z nich po raz pierwszy zetknęli się z ludnością Opolszczyzny, jej zwyczajami, pejzażem, folklorem, w ich liczbie znajdowali się również przybyli na Zjazd koledzy ze Związku Radzieckiego, NRD i Czechosłowacji — mogli „na żywo” wynotować wiele szczegółów, to i owo podpatrzeć, zapamiętać, zawiązać znajomość, przyjaźń. Niejednokrotnie taka właśnie forma oddziaływania na twórcę w drodze bezpośredniego kontaktu z człowiekiem, jego warsztatem pracy, miejscem pobytu itd. posiada dla pisarza większy walor poznawczy, więcej mu daje od akademickich dysput za zielonym stołem.

Stąd płyną wnioski dla organizatorów innych zjazdów tego typu z udziałem literatów. Żeby rzeczywiście obradować, trzeba spowodować do twórczej dyskusji, a to takie łatwe nie jest, świadczą o tym chociażby ostatnie festiwale poezji w Poznaniu, a nawet Wiosna Poetycka w Bydgoszczy — i tam bowiem można się było spotkać z nieciekawą dyskusją.

SPRAWIEDLIWOŚĆ JEST OSTOJĄ...

„„Przydział” mieszkania kosztuje od 5 do 40 tys. zł. Sprawy związane z wymiarem sprawiedliwości są o wiele tańsze — do 4 tys. zł. Paszport jest słony: do 10 patyków. Najdroższa jest jednak reprivatyżacja: kosztuje pięciokrotnie więcej. Rozstawanie się z tymi kwotami następowało i następuje z reguły natychmiast po poznaniu Wysokich Układających się Stron. Krótkotrwała znajomość między Stronami potrzebna jest 10 osobom na 100. Dla pozyskania zaufania do następcy „skiego” i „pulos” wystarczy co trzeciemu „żywicielowi” odpowiednia mina i słowne zapewnienie: ja, panie tego, wszystko mogę. Co piąty cwaniak żąda załączników, również co piąty stwarza pozory własnej ważności. Taki np. „Anioł Warszawy” (z piekła rodem), parający się przez dwa lata „przydziałami” mieszkań, wychodził na spotkanie swoim „klientom” z budynku St. Rady Narodowej. To było jego legitymacją. Wystarczającą, skoro nabił w karafkę prawie 200 osób na 700 tys. zł. Ale i jego znużdzila wreszcie głupota współziomków. Sam oddał się w ręce sprawiedliwości.

Innych — oddano!

Było ich w Warszawie, w roku ubiegłym, około setki.

Było ich w kraju, w roku ubiegłym, siedmiokrotnie więcej.

Ot i tyle tylko miałem na ten nieśmiertelny temat do powiedzenia. Wiele i niewiele zarazem. Zależy... kto ten felieton czytał!

Wczyje reçe

Dokończenie ze str. 1

widzianymi ustawą o szkolnictwie wyższym — czterema profesorami). Aktualna sytuacja jest naprawdę niepokojąca: poznański Wydział Mechanizacji nie otrzymuje niemal żadnej pomocy materialnej, mimo wieloletnich starań; jego osiem katedr rozrzuconych jest w trzech punktach miasta; brak sal wykładowych, kreślarni, wyposażenia laboratoryjnego. Wydział nie tylko nie dysponuje gospodarstwem doświadczalnym, ale nie ma poligonu do ćwiczeń, ani nawet nowoczesnych maszyn rolniczych. Dosadny przykład: w „parku” traktorowym PP króluje starego typu „Ursus”.

W ten sposób kraj problemów się zamyka: kształcimy za mało inżynierów-mechaników rolnictwa, a zarazem robimy bardzo niewiele, aby wykorzystać możliwości, jakimi aktualnie dysponujemy. Można bowiem stać na stanowisku, iż Wydział Mechanizacji PP posiada nie dość liczną kadrę naukową; z faktu tego jednak wynika chyba wniosek, iż należy uczelni dopomóc, by obecna sytuacja zmieniła.

Z pewnością i władze wojewódzkie — tak hojne ostatnio dla WSR, mogłyby okazać pomoc ważnemu dla dalszego rozwoju rolnictwa Wydziałowi Politechniki. Związka, że potrzeby Zielonego Zagłębia są w zakresie służby mechanizatorskiej szczególnie duże.

Cel jest chyba dostatecznie widoczny: chodzi o to, w czyje ręce przekażemy opiekę nad miliardowym majątkiem w postaci niezliczonych traktorów, kombajnów, młócarni i jakie głowy decydować będą o ich naprawie.

PIOTR ŻYCKI

3) Stan aktualny: 1 profesor + 4 docentów.

Bogusław Kogut

nad Zamiast remanentu

Należałoby o Targach, bo właśnie zaczyna się ten coroczny beneficjusz Poznania jako miasta „europejskiego”, tudzież okres udręki dla niektórych stałych mieszkańców grodu Przemysława, zwłaszcza tych, którzy gorzej znoszą zgiełk i ciżbę, a którym nie uda się na ten czas wyjechać. Ale ponieważ Międzynarodowe Targi Księgarskie, które interesują mnie najbardziej jako doręczyciel współproducenta towaru — odbywają się gdzie indziej, przeto zostawiam (przynajmniej na razie) targowy temat kolegom od handlu i ekonomiki, sam zaś wróć do remanentów pomajowych.

Maj — to jest miesiąc, w którym pisarz, jeśli tylko starcza mu ochoty i czasu, wędruje po świetlicach, bibliotekach i aulach szkolnych, przedstawia się czytelnikom, czyta im lub opowiada to i owo jak potrafi, wtajemnicza w arkan

szuki słowa i w tajniki literackiej gry, słowem — zbliża. Osobiście najchętniej wybieram się do małych miasteczek i osad, na wieś wreszcie — natura ciągnie bowiem wilka do lasu, a moja natura jest naturą wieśniaka i prowincjusza.

Pobiedziska leżą — jak to się zwykło mówić — trochę na boku, nie mają swej specyfiki ekonomicznej (jak na przykład meblarski Swarzędz), mają natomiast Chór im. Dębińskiego, istniejący od roku 1904, który po spotkaniu z pisarzem daje koncert, skrócony nieco ze względu na spóźnioną porę. Dyryguje pan Tadeusz Perlikiewicz, z zawodu zegarmistrz, drugą — obok śpiewaczki — sekcją, zespołem instrumentalnym opiekuje się p. Edmund Perlikiewicz, również zegarmistrz. Ponieważ zegarki tanieją coraz bardziej i reperowanie ich staje się coraz mniej opłacalne, przeto zakład

braci Perlikiewiczów poszerza zakres swoich świadczeń o coraz to inne usługi z zakresu precyzyjnych, ale mimo kłopotów z owym profilowaniem zakładu bracia Perlikiewiczowie wciąż znajdują czas na pracę z Chórem, który ostatnio znalazł patrona w Spółdzielni Pracy „Asepta”. „Asepta” wespół ze Spółdzielnią „Hutnik” i Powszechną Spółdzielnią Spożywców (może dołączy się również Mleczarnia) zamierza stworzyć wspólny ośrodek kulturalno-oświatowy, który objąłby swoją działalnością i skupił wokół siebie możliwie najszersze kręgi obywateli, zwłaszcza młodzieży. Na siedzibę wytypowano obiekt w pobliżu dworca kolejowego, znajdujący się tutaj bar zostanie przeniesiony, sala widowiskowa jest na zapleczu.

Czy uda się tutaj entuzjastom nadać tej pracy jakiś szerszy rozmach, wypełnić ją jakąś atrak-

cyjną i wartościową treścią — trudno przesądzać. Styszałem po kilkakroć, jeszcze przed wyjazdem do Pobiedzisk, że tutaj bardzo trudno jest rozruszać społeczność, zainteresować ją czymś nowym — to były jak gdyby usprawiedliwienia na zapas, na wypadek, gdyby na spotkaniu literackim nie dopisała frekwencja. Ktoś nie znający specyfiki miasteczek i osad „leżących na boku” mógłby to poczytać za brak wiary we własne możliwości — ale tak wcale nie jest. Przecież tutaj w ramach inicjatywy społecznej wybudowano boisko sportowe, snuje się plany, może nawet dopiero marzenia, by w ten sam sposób zafundować miastu i jego młodzieży halę sportową — to będzie wymagało sporo wysiłku i ofiarności, wielu zabiegów, ale nie będzie chyba niemożliwe.

W tym optymistycznym przypuszczeniu nie ma nic z kurtuazji, czy też zdawkowego „zagrzewania do czynu”; poczynania aktywne wokół ośrodka kulturalno-oświatowego są realne i konkretne — myślę — dla czegoż miałyby być inaczej z innymi przedsięwzięciami.

Ale — stop. Miał być remanent pomajowy, wyszło coś w rodzaju mikroreportażu o muzykujących zegarmistrzach i społeczno-kulturalnej inicjatywie. Ale niech mi koledzy po piórze wybaczą, że literatura zesła tu na drugi plan — tak bywa zawsze, gdy człowiek dostanie się między ciekawych ludzi i ich codzienne sprawy.

Co zaś do samych rozmów z czytelnikami — nadmienić należy, że nawet przy nie najlepszej (często) ich organizacji — co wcale nie odnosi się do Pobiedzisk — przy trudnościach wynikłych głównie stąd, że czytelnik dowiaduje się przeważnie w ostatniej chwili, „z kim będzie miał przyjemność i zaszczepić” — są one zawsze potrzebne, chyba bardziej potrzebne pisarzowi niż instytucjom, które tej akcji patronują, jako że wobec dużego pomieszczenia pojęć co do zadań literackiej krytyki — czytelnik jest pierwszą i ostatnią instancją literacką w Polsce, którą można i należy traktować na serio.

Kierunek — tropik?

Dokończenie ze str. 1

17,5 proc., lecz zarazem import z tych krajów wzrósł aż o 18,3 proc. W rezultacie, mimo, że w całości na szych obrotów notujemy poprawę sytuacji płatniczej, w bilansie handlowym z Zachodem nastąpiło dalsze pogorszenie. Nasze zadłużenie wzrosło.

Bardzo obiecująco rozwijają się nasze stosunki handlowe z krajami nierozwiniętymi gospodarczo. Jeśli w naszym eksporcie do rozwiniętych krajów kapitalistycznych 49,3 proc. stanowią artykuły rolnospożywcze, 41,7 proc. surowce i półfabrykaty, 5,7 proc. przemysłowe artykuły konsumpcyjne i tylko 3,3 proc. maszyny i urządzenia — to w eksporcie do krajów nierozwiniętych maszyny i urządzenia stanowią 30,7 proc., wyroby walcowane i półfabrykaty — 28,9 proc., przemysłowe artykuły konsumpcyjne — 20,9 proc., a artykuły rolnospożywcze tylko 19,5 proc. Jest to struktura dla obu stron ze wszech miar korzystna.

Wiele z tych państw zawarło z Polską długoterminowe umowy handlowe. Indie, Egipt, Birma, Afganistan, Gwinea i Tunezja — umowy 3-letnie, a Brazylia, Kuba, Ghana i Nigeria — 5-letnie.

Te młode państwa nie znają jeszcze w pełni potencjału przemysłowego i możliwości eksportowych Polski. Nie mają także nadmiaru środków, są na dorobku, zabkują przemysłowo. Posiadają za to dużo surowców, których ceny ulegają — zależnie od popytu i podaży na rynkach światowych — dużym wahaniom. Należy przypuszczać, iż kraje te pragną uniezależnić się od takich wahań, że podobnie jak i my — pragną mieć na przestrzeni dłuższego czasu stabilność wpływów ze swego eksportu. Stąd też — w miarę poznawania możliwości naszego przemysłu w zaspokajaniu ich potrzeb — nie będą miały nic przeciwko systematycznemu rozszerzaniu zawartych z Polską wieloletnich umów handlowych.

Ludzie naszego przemysłu: konstruktorzy, technicy, technologowie, powinni więc żywo interesować się tymi, jakie stawia tropikalny klimat wszelkiej materii. Jest to podstawowy warunek powodzenia w polityce określania nowej geografii polskiego eksportu.

PIOTR CHOJNACKI

Jan Sośnicki

Dylematy „ogólniaka“

Tegoroczna prognoza planów maturzystów, jeśli idzie o ich dalsze studia znowu budzi sporo wątpliwości (patrz artykuł Józefa Pieprzyka w „Głosie” z dnia 26. 5. br.). Jak w poprzednich latach powtarzają się w zainteresowaniach maturzystów pewne modne kierunki studiów, a więc archeologia (oczywiście śródziemnomorska!), psychologia i inne. Kierunki to cenne i potrzebne, jednakże w jakże mniejszych rozmiarach niż matematyka, fizyka, chemia, biologia, czy budowa i eksploatacja maszyn rolniczych.

Bo z kolei te właśnie kierunki, tak bardzo potrzebne gospodarce i tak decydujące o rozwoju współczesnej cywilizacji światowej nie znajdują należytego zainteresowania maturzystów z „ogólniaka”. Przed nimi zaś stoją otworem wszystkie wyższe uczelnie, oni reprezentują wśród absolwentów największą masę, oni decydują czy poszczególne kierunki studiów zostaną obsadzone zgodnie z potrzebami gospodarki narodowej, zgodnie z logiką rozwoju współczesnej cywilizacji. I liceum powinno im dać niezbędną orientację, bodźce i zachęty, bowiem ważne decyzje życiowe podejmują tu ludzie zaledwie z grubsza uformowani, ludzie, których na wyrost nazywa się dojrzałymi. Niestety, liceum na ogół tego nie daje, czego dowodem są coroczne zapisy na wyższe uczelnie.

I prawdopodobnie liceum w takim kształcie jakim je mamy obecnie, nigdy tego celu nie spełni, jest to bowiem kształt i model przestarzały, zgoła nie odpowiadający potrzebom naszego czasu. Nie jest to zresztą jakaś polska tylko bolączka, jakaś nasza narodowa czy ustrojowa słabość. Problem występuje w skali światowej i nasze projekty wielkiej reformy oświatowej nie są na świecie ani jedyne ani całkowicie odkrywcze. Eksperymentuje się w wielu krajach i to ze zmiennym skutkiem.

Ostatnio hamburski tygodnik „Der Spiegel” (z 23 maja br.) doniósł o ciekawych perypetiach w zakresie liceum (ogólniaka). W NRF także zaczyna przeważać pogląd, że najważniejsze jest nauczyć młodzież myśleć samodzielnie i ten cel winien mieć prymat przed zdobywaniem wielokierunkowej, encyklopedycznej wiedzy. Materiał nauczania winien ulec koncentracji. Powołują się tam nawet na oświadczenie...

cesarza Wilhelma II, który jeszcze w 1890 roku oświadczył: „Jest absolutnie konieczne, obniżyć ilość godzin nauczania i skoncentrować materiał”.

W 1947 roku wielka grupa pedagogów zachodniemieckich, opracowując na zlecenie władz amerykańskich nowy program szkolny, sięgnęła do myśli cesarza, drastycznie redukując programy. Wprowadzono nowy przedmiot „nauka o społeczeństwie”, który miał być syntezą historii, geografii i socjologii. Ten przedmiot obok języka niemieckiego i religii byłby obowiązujący, wszystkie pozostałe uczniowie wybieraliby sobie według uznania. Kiedy ten projekt opublikowano, nauczyciele wszystkich kierunków wykazali oczywisty egoizm zawodowy: zgadzając się z postulatem koncentracji, nie zgadzali się na ograniczenie przedmiotu, który ich obchodził osobiście. Projekt upadł.

Ale po kilku latach wrócono do tych koncepcji, stwierdzając rzecz oczywistą, że danie względnie pełnej wiedzy encyklopedycznej, jest obecnie utopią, a jeśli wszechstronności i różnorodności wykształcenia nie można osiągnąć, należy z tego wyciągnąć konsekwencje. Dopiero w 1960 roku ministrowie oświaty wszystkich krajów NRF zawarli w Saarbrücken porozumienie, które przewiduje: 1. ograniczenie zakresu przedmiotów i materiału nauczania poprzez przykładowy wybór i 2. przekształcenie przedmiotów obowiązkowych w przedmioty do wyboru względnie przedmioty wolontarystyczne.

Różne przedmioty obowiązkowych jest nikiły i w poszczególnych typach liceum (ogólniaka) obejmuje jedynie niemiecki, matematykę i obcy język oraz w zależności od typu: łacinę, grekę, francuski, fizykę. Nowy przedmiot „nauka o społeczeństwie” jest wszędzie obowiąz-

kowy. Resztę przedmiotów uczniowie mogą wybierać z pewnego zestawu lub w ogóle z nich zrezygnować (wolontarystyczne). Gdy w Bawarii wprowadzono eksperyment w życie w tym roku, okazało się, że młodzież przede wszystkim zrezygnowała z przedmiotów matematyczno-przyrodniczych, które nie należały do obowiązkowych. Nauczyciele tych przedmiotów podnieśli rebelię do której przyłączyli się historycy i geografowie, których przedmioty w ogóle nie figurują w programach (nauka o społeczeństwie).

Tak wygląda w NRF. Eksperymentują także inne kraje Wschodu i Zachodu. Jak widać na przykładzie NRF ze zmiennym skutkiem, bowiem zezwolenie na wybór przedmiotu okazało się wysoce ryzykowne. Nie można sobie przecież pozwolić na masowe zrezygnowanie z przedmiotów przyrodniczych.

I na pewno na takie ryzyko nie pozwolą sobie kraje socjalistyczne, przywiązujące szczególnie duże znaczenie do rozwoju techniki. Nie przypadkowo też Program KPZR stwierdza na ten temat: „o dalszych perspektywach postępu nauki i techniki decydują na obecnym etapie przede wszystkim osiągnięcia człowiek galezi teoretycznego przyrodoznawstwa”. Z tego wypływają oczywiście zadania także dla ogólniaka. Tam przecież przygotowuje się decydującą większość przyszłych słuchaczy wyższych uczelni, przyszłych uczonych i praktyków, budowniczych naszej przyszłości.

W naszym kraju trwa dyskusja nad modelem ogólniaka. Jak zapewnić, by była to szkoła o typie ogólnokształcącym (bo wszyscy są na ogół zgodni, że taki model jest w skali masowej najwłaściwszy), ale jednocześnie nowoczesna, „zgodna ze współczesnym stanem nauki i sytuacji, w jakiej żyją i żyć będą młode pokolenia”. Cytat pochodzi z artykułu Bogdana Suchodolskiego pt. „Nowoczesne wykształcenie” („Przegląd Kulturalny” 1962 nr 17), w którym znajdujemy też „receptę” dla modelu ogólniaka przyszłości. „Jeśli odłączymy — pisze Suchodolski — działalność ludzi, związaną z wyobrażeniami religijno-metafizycznymi, będziemy mogli wyróżnić i utrwalić cztery wielkie tereny działań: przyrody martwej, przyrody żywej, społeczeństwa i kultury... Wykształcenie ogólne mogłoby być różnicowane wedle tych czterech zasadniczych kierunków ludzkich działań”.

A więc cztery typy ogólniaka? Propozycja bardzo interesująca. Nie wątpliwie w tych 4 typach doskonale mogłyby się zmieścić rozmaite uzdolnienia oraz upodobania młodzieży. Mogłaby to być także dobra podstawa dokonywania świadomego wyboru dalszych studiów. Prof. Suchodolski nie interesuje się jednak w swoim artykule problemem małych ośrodków, gdzie chyba jest rzeczą niemożliwą zapewnić 4-typowego ogólniaka (skąd nauczycieli, tyle klas i młodzieży?). A przecież licea w małych miastach powiatowych stanowią większość. Więc? Trzeba nam dalej dyskusować, precyzować profil ogólniaka. Szczególnie wiele mają tu rzecz jasna do powiedzenia sami nauczyciele. Byłoby to dość naturalnych egoizmów zawodowych i zechcieli popatrzyć na ogólniaka po prostu jak obywateli: co ta szkoła musi dać współczesnej młodzieży.

Janusz Biniek

Jutro premiera



Zdarzyła się duża rzecz: komedia produkcji polskiej. Jak wiadomo, przytrafia się nam to równie rzadko jak zaćmie nie księżyc lub upalne lato.

„Jutro premiera” — bo taki nosi tytuł ów ewenement — powstała według sztuki J. Juran-dota „Trzeci dzwonek” (reżyserował J. Morgenstern), a akcja filmu rozgrywa się w środowisku aktorskim, które tradycyjnie cieszy się niesłabnącym zainteresowaniem widzów. Nie jest to jednak film o teatrze, lecz o jego kulisach. A więc odwieczny trójkąt teatralny: autor, dyrektor, aktorzy. Przedziwne i również stare jak świat prawidła w obsadzaniu ról. Jest też motyw „scena a życie”: aktorka, potrafiąca znakomicie grać rolę starzejącą się już kobiety na scenie, która jednak nie chce godzić się z tą rolą we własnym życiu. Wszystko to pokazane z dystansem, z lekką nutką satyry, bez pretensji, ale też bez większych ambicji odkrywczych.

Pokazane, a raczej opowiedziane. Bowiem wpływ sceniczny pierwszorzędnie w tym filmie bardzo wyraźnie, i to zarówno w dobrym, jak i złym znaczeniu. W dobrym — bo atutem numer jeden filmu są przede wszystkim dialogi, błyskotliwe i dowcipne: zły — gdyż „Jutro premiera” jest w gruncie rzeczy filmem nie filmowym, statycznym, zbyt ściśle trzymającym się formuły scenicznej, która — niestety — nie została przełamana twórczo na język filmowego obrazu. Nie chodzi już o to, że niemal cała akcja rozgrywa się prawie wyłącznie w gmachu teatralnym. Myślę jednak, że kamera nie ośpuszczając nawet murów teatru, mogłaby jednak wyjść poza rolę biernego rejestratora, mogłaby wykazać większą ruchliwość, słowem — powinna mieć coś do pokazania o sobie, a takich okazji chyba w teatrze nie braknie. Winę trzeba podzielić po połowie między reżysera i operatora: pierwszego interesowało tylko to, co miało bezpośredni związek z dialogiem, drugi ograniczył się do obojętnej, zdawkowej fotografii.

Najwięcej uciechy daje obserwowanie aktorów, którzy wyraźnie bawią się, grając przeważnie... samych siebie. I tak na przykład dyrektor teatru A. Bardini gra dyrektora teatru i trzeba przyznać, że jest w tej roli znakomity. W ogóle film jest aktorsko wyrównany. I choć pomysły nienowoczesne, zakończenie banalne, a sama adaptacja zrobiona bez filmowego nerwu — „Jutro premiera” daje się oglądać z przyjemnością a i pośmiać się można. Dla panów jest Kalina Jedrusik, dla pań Gustaw Holoubek i inni. Radzę więc pójść, choćby dlatego, że... ale to już napisałem na samym początku.



Eugeniusz Paukszta

Nowości Ossolineum

Ze szczególną satysfakcją zaglądam do przesyłek książkowych z Wrocławia, wiedząc, że w dorobku „Ossolineum” zawsze znajdę ciekawe pozycje, w dodatku zaskakujące swoją różnorodnością tematyczną. Profil wydawniczy zasłużonej placówki, z jednej strony wyraźnie określony, z drugiej zostawia jednak miejsce na niespodzianki. Jak i w ostatnim czasie...

Zacząć chyba wypada od doskonałej, bardzo sumiennej, a zarazem popularnie ujętej monografii Aleksandra Krawczuka „GAJUSZ JULIUSZ CEZAR”. Postać Cezara przeżywa u nas swój jak gdyby renesans, niemal powszechnym jest zainteresowanie wielkim wodzem, kto wie, czy w poważnym stopniu nie pod wpływem lektury Bocheńskiego... W każdym bądź razie praca A. Krawczuka porządkuje naszą wiedzę tak o wodzu jak i o znaczonej jego piętnem epoce, w dodatku czyni to w sposób tak pociągający jak najbardziej atrakcyjna powieść. Przeczytajcie sami, osądźcie.

A zaraz obok nowy tom z serii pamiętników, z takim pietyzmem odkurzanych przez wydawnictwo z zapomnienia i wydawanych niezwykle starannie pod względem edytorskim, z baczeniem, by przy zastosowaniu całego aparatu naukowego nie stracił z oczu także i przeciętnego czytelnika. Tym razem w opracowaniu Franciszki Sawickiej otrzymujemy Marcina Smarzewskiego „PAMIĘTNIK LAT 1809—1831”, doskonały autentyczny przeżytek uczestnika kampanii napoleońskiej 1812—1813 oraz powstania listopadowego, przy tym ziemianina, równie skrupulatnie notującego swoje codzienne troski gospodarcze. Świetne źródła znajo-

mości obyczajów, niebanalny obraz zarówno wschodniej kampanii Napoleona, jak i listopadowego zrywu narodowego.

Dla smakoszy klasyki również przygotowało „Ossolineum” bardzo atrakcyjny kasek. Wydane zostały „LISTY HETER” Alkifrona, świetnie literacko wyczytany tekst, pełen subtelności, urody słowa, mi-

sterności skojarzeń, odbijający ateński kult erotyzmu poprzez fikcyjną formę listu literackiego. Jest w tych tekstach cały smak kultury klasycznej, a zwierzenia heter, jedynych według Greków kobiet godnych być partnerkami mężczyzn, wprowadzają w świat dawnej Grecji częstokroć lepiej, niż potężne foliały suchych rozpraw.

Po odnotowanych niedawno powieściach Leszka Proroka i Tadeusza Mikołajka, otrzymaliśmy kolejne pozycje nagrodzone w konkursie „Ossolineum” na utwór o ziemiach zachodnich. Wiele wartości poznawczo-rejestrujących z pierwszych lat osiedleńców na Dolnym Śląsku, ukazanych poprzez niebanalną, chociaż momentami zbyt rozrzuconą fabułę wnoszą powieści Krystyny Urbanowicz „ŚWIATŁO W OKNIE”. Umuja jakas wielka doza szczerości, umiejętność odbicia nastroju tamtych lat, ciekawe ujęcie skomplikowanych losów ludzkich. Ukazał się też tom reportaży Alojzego Srogi o ludziach z Pomorskiego Wału: „NA DAWNYCH OKOPACH”. Nuta wspomnień z zaciętych walk na terenie koszalińskich przewija się poprzez dramatycz-

nie często ukazywany czas krzepnięcia polskości na tej ziemi. Sroga rozwija swój cykl reportaży chronologicznie, od roku 1915 aż po ostatnie nieomal dni, zresztą ilustrując go charakterystycznymi i przekonującymi przykładami procesu gruntowania związków ludzi z odzyskaną ziemią.

Imponuje konsekwencja „Ossolineum” w publikacji coraz to nowych tomów „Biblioteki Narodowej”, towarzyszącej nam już od tylu, tylu lat. Obecnie anonsuje wyjście z druku w opracowaniu Anny Jakubiszyn-Tatarkiewiczowej głośnej powieści pani A. L. H. De Stael „KORYNNA CZYLI WŁOCHY”. Powieść ta, wydana po raz pierwszy w roku 1807, ponownie uczyniła rozgłosnym nazwisko tej arcyciekawej kobiety, zaciętej przeciwniczki Napoleona, intelektualistki, teoretyka literackiego, znaczącej swoimi tekstami nowy etap rozwojowy powieści. Jasne, że cokolwiek „myszka tu pachnie”, ale przecie i dzisiejszego czytelnika pociąga tresť tej zakamufłowanej powieści autobiograficznej kobiety, obracającej się wśród najciekawszych umysłów swego czasu i w niejednym umięjęcej im sprostać.

I jeszcze jedna z nowości wrocławskiej oficyny, szczególnie mogąca zainteresować odbiorców naszego regionu, mianowicie publikacja Bolesława Pleśniarskiego „POGLĄDY WIELKOPOLAN NA SPRAWY WYCHOWAWCZE I OŚWIATOWE W ŚWIELE PRASY WIELKIEGO KSIĘSTWA POZNAŃSKIEGO 1815—1847”. Autor w skrupulatnym wnikliwym studium podjął się trudnego zadania ukazania prasy wielkopolskiej „w procesie tworzenia się narodu burżuazyjnego”, tak poprzez zasadę klasową jak narodową. Książka ta wnosi sporo nowych materiałów w naszą wiedzę o przeszłości regionu wielkopolskiego, we wnioskach zaś zastanawia bardzo interesującymi sformułowaniami.

z książka na **ty**

